

OPIEKUN DZIATWY

BEZPŁATNY DODATEK DO „GŁOSU WĄBRZESKIEGO”

NR. 21

WĄBRZEŻNO, DNIA 7 WRZEŚNIA 1935 ROKU

ROK 5



*Królowa Belgji Astrid, w otoczeniu swych dwojga dzieci.
W ubiegłym tygodniu wydarzyła się straszna katastrofa sa-
mochodowa w Szwajcarji, w której królowa Astrid zginęła.*

Stary kapitan z Saint-Cyr

W szkole wojskowej w Saint-Cyr, na krótko przed rokiem 1850, był kapłanem mąż wyższego ducha i zdolności, nazwiskiem Rigolet. Odbywał on z wychowawcami tej szkoły duchowne ćwiczenia i w tym celu zgromadzał ich co wieczór w kaplicy przed udaniem się na spoczynek.

Gdy kapitan ów skończył raz wieczór swój wykład, w którym mówił o karach piekielnych i ukończył zwykle modlitwy, wziął świecę i chciał się udać do swego pokoju, znajdującego się w skrzydle, które było przeznaczone na mieszkanie oficerów. Otwierając drzwi do siebie, usłyszał, iż go woła osoba, idąca za nim przez schody. Był to stary kapitan, szpakowaty i niezbyt ujmującej powierzchowności mężczyzna.

— Daruj, księżo kapelanie, — przemówił z lekką ironją, — ale muszę ci przyznać, że mówiłeś bardzo pięknie o piekle. Zapomniałeś tylko powiedzieć nam, czy w piekle będą nas smarzyli, piekli lub gotowali? Czy nie możesz mi tego powiedzieć?

Kapelan wiedząc dobrze, z kim ma do czynienia, spojrzał mu bystro w oczy, podsunął mu świecę pod nos i powiedział spokojnie:

— O tem się sam najlepiej przekonasz kapitanie.

I zamknął drzwi za sobą, uśmiechnąwszy się z lekka na widok przestraszonej miny biednego kapitana.

Nie myślał już o tem; ale odtąd zauważył, że kapitan unikał starannie spotkania się z nim.

Wybuchła rewolucja lipcowa. — Usuwano zewsząd kapelanów wojskowych, a ks. Rigolet otrzymał niemniej zaszczytne stanowisko.

We dwadzieścia lat potem znajdował się czcigodny kapłan w pewnym licznym i doborowym towarzystwie — gdy wtem zbliża się do niego stary, siwowłosy wojskowy — kłania się uprzejmie i pyta, czy on jest księdzem Rigolet, który niegdyś był kapłanem w Saint-Cyr. Gdy się dowiedział, że tak było w samej rzeczy, wzruszył się stary żołnierz i rzekł:

— Ach! wielbny, Ojciec pozwól, że cię uścisknę i podziękuję ci, gdyż tyś mię ocalił!

— Ja?... a to w jaki sposób?

— Czy mię nie poznajesz, Ojciec? Czy sobie już nie przypominasz staroego kapitana, który był nauczycielem w szkole wojskowej i który po pewnym kazaniu o piekle zadał ci jedno bezcelne pytanie, na które od-

powiedziałeś w ten sposób, że podsunąwszy mi świecę pod nos, dodałeś:

— O tem się sam przekonasz najlepiej, kapitanie!

Otóż to ja jestem owym kapitanem. Od tego czasu prześladowały mnie wszędzie te słowa; myśl że dostanę się do piekła i będę wiecznie gorzał, nie opuszczała mnie ani na chwilę. Dziesięć lat walczyłem z nią; ale ostatecznie musiałem kapitulować. Wypowiadałem się, stałem się dobrym chrześcijaninem. Waszej wielbności zawdzięczam spokój i szczęście moje i cieszę się niewymownie, że spotkałem się z wielbnym Ojcem i mogę mu to oznajmić.

BRATKI

3)

Kiedy się obudzili, słońce już było wysoko na niebie. Zerwali się na równe nogi. Sen ich trochę pokrzepił, natomiast czuli silny głód. Właśnie, gdy myśleli nad tem, jakby go zaspokoić, posypał się z drzewa grad laskowych orzechów. Spojrzeli w górę i zobaczyli pomiędzy gałęziami wiewiórkę.

— Nie dajcie mi wprawdzie tej nocy spać — mówiła — ukąsiłam was za to, ale teraz podzielę się z wami mojem śniadaniem.

— Dziękujemy — rzekli chłopcy, zbierając orzechy. — a czy nie mogłabyś nam, kochana wiewiórko, powiedzieć, którędy droga z lasu prowadzi?

— Idźcie prosto przed siebie — rzekła wiewiórka — aż do owej brzeziny, potem skróćcie na prawo, skąd widać zieloną polankę. Tam mieszka dawna moja znajoma pszczoła, zajrzyjcie do niej i pokłońcie się jej ode mnie.

Chłopcy, kłaniając się przedewszystkiem wiewiórce, odeszli wskazaną przez nią drogą. Niebawem przybyli na polankę, gdzie już z daleka widzieli dawną znajomą wiewiórkę. Była to bardzo uprzejma jejmość, w żółtym czepecu i fartuchu. Przyjęła małych wędrowców z prawdziwie polską gościnnością, zastawiła przed nimi żółte jak złoto plastry miodu, a zapraszając do jedzenia, pytała o wiewiórkę. Potem pokazała im swoje gospodarstwo.

— Nie bójcie się — mówiła — moja czeladka jest na łące u roboty, nie wróci tak prędko.

Bracia, posiliwszy się nieco, nabrali otuchy i pytali pszczoły, czy nie widziała dwóch małych chłopczyków, którzy tydzień temu zniknęli bez śladu?

— Dwóch małych chłopców ze złotymi włosami? — powtórzyła zapytanie pszczoła — ja ich widziałam jesz-

cze przed tygodniem może; biegli tędy, ale zobaczywszy mnie, takiego narobili hałasu, że się aż przelękłam. Daremnie ich wołałam, mówiąc, że im nic złego się nie stanie, umykali czempredzej i kto wie, czy właśnie nie wpadli w ręce mojej czeladzi, wszak widziałam, że udali się wprost do gaju królowej lasów.

Chłopcy o gaju królowej lasów dotąd nigdy nie słyszeli.

Pszczoła opowiedziała im, że to bardzo piękny ogród, należący do królowej, czyli, jak ją właśnie nazywają, bogini. Ze ona opiekuje się wszystkimi roślinami, które za jej staraniem rosną i kwitną. Jest bardzo dobra i miłosierna; pozwoliła n. p. pszczołom zbierać bezpłatnie słodycze ze swych kwiatów.

— A gdzież ten gaj? — zapytali zaciekawieni chłopcy.

— Niedaleko stąd.

Bracia pożegnali uprzejmą gosposię i udali się w niepewną drogę. Zrazu wspinali się dość łatwo po górę, trzymając się drzew i krzewów, pokrywających w wielkiej ilości jej stoki. W miarę jednak, jak postępowali wyżej, znikła roślinność, natomiast okazywały się nagie, szare skały. Mimo to stanęli wkrótce, potem oblani, na szczyt góry, skąd przedstawił im się precudny krajobraz. Widać stąd było jak na dłoni piękną okolicę, w całej jej okazałości. Tam, gdzie niebo stykało się z ziemią, ciągnęły się pasma sinych gór, których wierzchołki gubiły się w mgłę; niżej nieco poważne, ciemne bory, a u stóp ich miasta i wsie wśród bujnych ogrodów, zielonych łąk i falujących bogatym kłosem pól. Widać było kościoły wspaniałe, wysokie gmachy i chaty słomą poszyte, i kmiotka przy pługu, i psa przy budzie, i bociany, i skowronki, i studnię z żorawiem, i srebrną Wisłę, opasującą tę świętą ziemię, niby szeroką wstęgą.

Chłopcy tak byli tym uroczym widokiem przejęci, że nie spostrzegli wcale, jaka nowa, ciężka próba ich czeka. Tem większe było ich przerażenie, gdy oderwawszy wzrok od pięknego obrazu, spojrzeli w ciemną, bezdenną przepaść, która się u nóg ich rozciągała. Wokoło same nagie skały i strome urwiska, a zresztą pustka; tu i ówdzie tylko nieco mchu, a na nim mała jagódka.

Wśród tej grobowej ciszy, hucznie bijące ze skał strumyki, wydawały się tem straszniejsze.

— Wróćmy się lepiej — prosił drżącym głosem najmłodszy z braci.

(Ciąg dalszy za tydzień).

Przygody Pana Zajęca i Pana Lisa

Pamiętacie jeszcze pewnie wszyscy ciekawe opowiadania starego dziadka Zajęca. Dziś znowu przyszły do dziadunia na miedzę młode Zajączka i stary pan Zając taką im opowiada bajeczkę, a może nawet prawdziwą przygodę:

Otóż pewnego dnia pan Lis zrobił slichnego stracha na wróble. Wiecie dzieci, jak taki strach wygląda, tylko, że ten, zrobiony przez pana Lisa, był bardzo lepki, bo był pokryty smolą. Pan Lis umieścił swoje dzieło na drodze, sam skrył się w krzaki i czekał, co z tego wyniknie.

Niedługo czekał, bo oto szedł sobie mój sąsiad pan Zając na ranną przechadzkę. Przystanął zdziwiony, kiedy zobaczył czarnego stracha.

— Dzień dobry! — rzekł grzecznie pan Zając do stracha. — Ładną dziś mamy pogodę!

Ale strach nic na to nie odpowiedział.

— Co ci jest? pytał pan Zając zdziwiony. — Czy pan jest może głuchy? — Mogę mówić głośniej.

Strach w dalszym ciągu nic nie mówił, bo mówić nie umiał.

Pan Zając rozłożył się na dobre.

— Ty stary głupcze! — zawołał na stracha. — Ja cię nauczę, jak się rozmawia grzecznie i jak trzeba odpowiadać! Jeżeli mi natychmiast nie powiesz: dzień dobry, to zbiję cię na kwaśne jabłko!

Strach naturalnie wciąż milczał...

Nasz pan Zając, nie namyślając się wcale, zamachnął się i z całej siły uderzył stracha łapą po głowie. Ale co to? Łapa przykleiła się do smoly, którą strach był pokryty i pan Zając nie mógł jej w żaden sposób uwolnić. — Wściekły wymierzył drugą łapą potężny policzek, ale — niestety — teraz przykleił się na dobre i drugą łapą.

Biedaczysko szarpał się i skakał, ale nic nie pomogło, wkrótce pan Zając przykleił się wszystkimi czterema łapami do stracha.

Na to tylko czekał pan Lis. Wyskoczył z krzaków i śmiejąc się do rozpuku, zawołał ucieszony:

— A dzień dobry, mój miły Zajączku! Nareszcie cię złapałem. Jesteś stanowczo za mało pewny siebie, wszystkie figle udawały ci się dotąd, myślałeś, że jesteś mądrzejszy z nas wszystkich. Ale poczekaj, braciszku, dałeś się złapać podstępem, jesteś teraz w mojej mocy, poczekaj, przyniosę tylko suchych gałęzi, rozpale ognisko i upiekę cię żywcem. Tak! tak, dziś musisz zginąć!

Pan Zając poszedł po rozum do głowy i powiedział słodziutkim głosikiem:

— Panie Lisie! Może mnie pan upiec żywcem, może pan ze mną zrobić wszystko, tylko proszę cię nie wrzucaj mnie przypadkiem do tych kolczastych krzaków!

— Wiesz co, Zajączku — powiedział Lis — nie mam czym rozpalić ognia, więc zdaje mi się, że ciebie poprostu powieszę!

— Wieszaj mnie, panie Lisie, ale zaklinam cię, nie wrzucaj mnie do tych krzaków! — prosił pan Zając.

— Ech! Nie mam sznurka, nie mogę cię powiesić, ale wiem, co zrobić, trzeba będzie utopić cię!

— Ach, utop mnie, panie Lisie, ale błagam cię, nie wrzucaj mnie tylko przypadkiem do tych krzaków!

— Jakżeż mam ciebie utopić, kiedy w pobliżu niema wody, zdaje mi się, że obedrę cię tylko żywcem ze skóry — powiedział Lis.

— Ach, panie Lisie, obedrzym mnie ze skóry, ale nie wrzucaj mnie do tych krzaków!

Oczywiście, że pan Lis chciał zrobić panu Zającowi największą krzywdę, więc niewiele myśląc, chwycił go za kark, zamachnął się parę razy i bęc! Wrzucił Zajączka w przydrożne kolczaste krzaki.

A nasz pan Zając, jak nie skoczy na równe nogi, jak nie da drapaką, stanął sobie w bezpiecznym miejscu i śmiał się na cały głos z głupiego Lisa.

— Panie Lisie! — wołał. — Przecież w krzakach czuję się, jak ryba w wodzie, tutaj się przecież urodziłem!

Tak to sprytny mój sąsiad pan Zając uratował sobie życie. — A teraz kochane wnuczka moje, śpieszcie do domu, bo tam napewno już czekają was rodzice.

— Dowidzenia! dziadunio! — wołały na pożegnanie małe zajączki i w podskokach pobiegły do swej norki.

—o—

Koniecznym jest...

Pompejusz, znakomity wódz rzymski, zwany Wielkim, udawał się w sprawach obowiązkowych do Rzymu na okręcie.

Zerwała się wielka burza. Przyjaciele odradzali mu podróż, mówiąc:

— Narażasz życie swoje!

On zaś na to:

— Koniecznym jest, bym pojechał, ale żebym żył, wcale nie jest koniecznym.

(Według S. Smilesa: O charakterze)

Złote myśli...

Po każdym twojem największem dziele,
Zawsze o sobie sądz mało;
Nie myśl, jak oto zrobiłeś wiele,
Lecz co ci zrobić zostało.

Lenartowicz.

Przygody Fajtusia marynarza



Niema kotka

Śpij syneczku w kolebusi,
Matusz izbę zamieść musi...

Taka bajki pierwsza zwrotka:
Niema kotka!

Uciekli leniuch — śpi na sianie,
Wróci — mleczka nie dostanie...

Taka bajki druga zwrotka:
Niema kotka!

W komóreczce myszki skrobia...
Nic, syneczku, ci nie zrobią...

Taka bajki trzecia zwrotka:
Niema kotka!

Wydoła matuś krówkę,
Zamknęła ją na zasuwkę,
Już nie będzie więcej zwrotek —
Przyszedł kotek!



Maskarada młodych Chińczyków w jednej ze szkół misyjnych katolickich w Chinach.

Nieposłuszny zajaczek

Słońce zaszło już dawno.

W lesie było cicho. Ptaszęta spały spokojnie w gniazdkach.

Księżyc wschodził powoli z za drzew, nareszcie stanął tak wysoko na niebie, że jego blade promienie, przecisnąwszy się przez gałęzie drzew, oświeciły ziola i trawki rosnące nisko przy ziemi. Wtem jeden jego promyk padł na małą szarą główkę, która wychyliła się właśnie z jamki, ukrytej wśród ziół leśnych i oświecił dwoje błyszczących oczu, rzucających dokoła niespokojne wejrzenia. Troszkę dalej z innej jamki wysunęła się druga taka główka i trzecia, w innej stronie pokazała się czwarta i tak dalej, aż

w końcu błysnęło ze trzydzieści par małych żywych a trwożnych ocząt.

Ośmieleni ciszą, która panowała dokoła, właściciele tych ocząt wybiegli naraz ze swych nor i pokazało się trzydzieści zajaczków w towarzystwie swoich żon i dzieci. Cała ta gromadka ruszyła w podskokach na niedaleką łączkę, gdzie w bezpiecznym miejscu zwykła była żerować co nocy.

Dzieci zajęcze przybywszy na piękną polankę, zaczęły się bawić wesoło, tak samo, jak dzieci ludzkie, gdy je rodzice puszcza swobodnie. Więc goniły się, przeskakiwały jedne przez drugie, przewracały się po miękkiej trawie i wyprawiały tysiączne figle. Starsi zaś zbierali skrzętnie ziółka i zabawiali się poważnie w odpowiednim sobie towarzystwie.

Pan zajac i pani zajacowa byli właśnie zajęci wygrzebywaniem z ziemi jakiegoś soczystego ziółka, gdy ich syn Gryzuś rzekł do siostrzyczki Gryzuni całkiem cichutko:

— Wiesz co, że już mi się sprzykrzyła ta łączka. Prawie co noc prowadzą nas tu rodzice. Jakby to już poza tą polanką nie było świata! Widzisz tę ścieżkę wijącą się wśród cieni i niknącą gdzieś w oddali? Ona mnie tak nęci; chciałbym się przekonać, gdzie ona prowadzi. Chodź ze mną!

Ale Gryzunia, która była rozsądniejsza od brata, odparła:

— Nie, mój kochany, nie idź tam. Wiesz, że rodzice zakazali nam oddalać się i wychodzić z łączki. Powiadają, że tam mogłoby się nam stać coś złego.

— Jesteś tchórzem, jak zwykle dziewczęta — odrzekł Gryzuś, wymiewając siostrę. — Jeżeli nie chcesz iść ze mną, to zostań. Pójdę sam. Do widzenia!

I ukłoniwszy się siostrzyczce, znikł na zakręcie ścieżki, która wiła się wśród krzewów.

Gryzuś biegł długo, długo. Czuł się szczęśliwym, że jest wolny. Ta część lasu, przez którą teraz przebiegał, wydała mu się daleko piękniejszą od tej, którą znał, bo zwykle to, co nowe, wydaje się piękniejsze.

Ale po jakimś czasie, zmęczony się. Stanął więc i zaczął się rozglądać wokoło. Usłyszał krzyk sowy. Krzyku tego on nie lubił, bo przypominał mu wszystkie niebezpieczeństwa, jakie grożą zajaczkom w lesie, a przed którym często ostrzegała go matczka.

Zapomniał więc o piękności lasu, strach go ogarnął i nie namyślając się długo, zaczął uciekać spowrotem.

W strachu nie zauważył, że zmylił drogę. Pędził na oślep, aż naraz uczył,

że coś go schwyciło za gardło. Szarpnął głową, chciał szyję uwolnić z więzów, ale im się więcej szamotał, tem czuł większy ból.

Biedny zajaczek wpadł w zastawione sidła. Szarpnął się, usiłował uwolnić się z pułapki, ale wkrótce upadł wyczerpany.

Księżyc tylko widział męki samotnie ginącego w lesie zajaczką i słyszał jego żal i narzekania.

BIEG NA 1000 METRÓW

SLUCHOWISKO DLA DZIECI
W SOBOTĘ 7. IX. O GODZ. 18.00

Humorek

Mały Duduś po całych dniach bawi się z psem. Pies dość sierpliwie znosi te zabawy, ale przecież pewnego razu zaczyna przeraźliwie skowyczeć. Matka ogląda się i mówi upominawczo do Dudusia:

— Ależ kochanie, tyle razy ci mówiłam, że nie powinieneś ciągnąć psa za ogon...

— Ja wcale tego nie robię, mamusiu — odpowiada malec — ja go tylko trzymam za ogon, a on sam ciągnie...

—o—

Ojciec: — Karolku! Przy biegunie północnym trwa noc pół roku.

Karolek: — Ach, biedni stróże! Jak oni wytrzymają, tak długo na straży:

—o—

TRAFIŁA KOSA NA KAMIEN.

Majster do terminatora: Weź dzbanek i przynieś kwaśnego mleka ze sklepu.

Chłopiec: Proszę dać pieniądze!

Majster: Nie sztuka kupić za pieniądze, ale bez pieniędzy kup.

Chłopiec wyszedł, po chwili wraca i stawia dzbanek przed majstrem. Majster przechyla dzbanek nad szklanką, a tu nic się nie leje.

Majster: Gdzież mleko? Przecież dzbanek próżny.

Chłopiec: Nie sztuka nalać z pełnego dzbanka, ale nalać z próżnego — to szuka.